

Bruno Schulz: Powstają legendy

Istota wielkości wyraża się w wielkich antynomiach. Stajemy przed szeregiem antynomii, sprzeczności i niepojętości. Ale czujemy, że tylko od strony rozumu zaopatrzone są one znakiem przeczenia. Z jakiejś innej niewiadomej strony rozwiązują się te sprzeczności w najwyższą zgodność, rację i pozytywność – pisał Bruno Schulz w szkicu „Powstają legendy”.

Przypominamy jego tekst w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Bruno Schulz. W obronie wielkości.

Legenda jest organem ujmowania wielkości, jest reakcją ducha ludzkiego na wielkość.

Gdy chodzi o ludzi zwykłej miary i zwyczajne dzieje, wystarcza psychologia, pragmatyzm, realistyczne metody historii. Tym kluczem otwieramy dzień codzienny i wielu uważa, że otwiera on wszystko. Jest to wiara epok małych. Pozytywizm jest religią czasów, które nie doznały wielkości. Bo wielkość rozsiana jest skąpo w planie świata, jako odrzutki szlachetnego metalu w milach głuchego kamienia. Niewiara w wielkość wrodzona jest duchowi ludzkiemu. Jest w nas jakiś duch małości, który rozdrabnia, ryje, podgryza, kruszy, aż póki nie rozdrobi, nie rozniesie, nie przeryje skały wielkości... To jest nieustanna, żarliwa, podziemna praca małości. Ażeby zrozumieć, musi człowiek pomniejszać. Pasja rozumienia, asymilacji jest elementarną siłą, automatyczną funkcją ludzkości. Tak przegryza się ona przez wielkość niszcząc ją. Historia pełna jest mrowisk i gruzów - wystygłych kopców wielkości.

Psychologia – to przeciętność, to wiara w uniformizm, w szare prawo mrówki. Gdy wiek XIX strawił ostatniego wielkiego człowieka, nastąpiła epoka psychologii, jak dzień słoneczny i nudny bez końca. Ludzkość odetchnęła z ulgą. Poprzysięgła sobie nie rodzić więcej wielkich ludzi. Zaprzeczyła ich istnieniu. Nastąpiła restauracja małości. Z ulgą restytuowano przeciętność, przywrócono zasadę zrozumiałości, racjonalizmu. Podzielono cały obszar życia, rozkawałkowano, poddano kontroli. Proklamowano niemożliwość wielkości, obwieszczono jej niepotrzebność. Wysunięto nieosobowy proces dziejowy, cyfry i statystykę. W nich szukano klucza do zrozumienia historii.

Dlatego gdy powoli, niepostrzeżenie wyrosła wśród nas milcząca wielkość i pierwsze wieści, jak ciche błyskawice, rozbiegły się o niej – pierwszym odruchem masy było zaprzeczyć, zamknąć się przed nią, odebrać jej kredyt.

Masa ludzka opiera się tym, którzy ją prowadzą w wielkość. Zwłaszcza, gdy ta wielkość gardzi uwodzicielstwem, nie pieści, nie pochlebia, nie obiecuje. Ażeby ją znieść, trzeba ją pokochać. A kto może zdecydować się do tej ofiarnej, nie odwzajemnianej, płomiennej i patetycznej miłości? Kto może wziąć na siebie jej ciężar przygniatający na zawsze?

*

Z wkroczeniem wielkości w szranki historii – zawieszono są prawa zwyczajnych przebiegów. Psychologia i racjonalizm, te instrumenty pomniejszania i rozumienia, stoją jak zagwożdżone działa nieużyteczne i rozdarte. Intelkt cofa się i kapituluje.

Prawa wielkości niewspółmierne są z metodami codziennego myślenia. Umysł, który chce ją pojąć, musi cofnąć się do głębszych rezerw, i jego konstrukcją tymczasową, wybiegiem z dawna zaufanym – jest legenda. Jest to nagłówek, pierwszy prowizoryczny tytuł romansu, którym brzemienią jest ludzkość. Wytycza się granice świętego obszaru, na którym staną świątynie i sanktuaria, akropol narodu – i zatyka się na tych terenach tabliczkę z napisem: legenda.

*

Istota wielkości wyraża się w wielkich antynomiach. Stajemy przed szeregiem antynomii, sprzeczności i niepojętości. Ale czujemy, że tylko od strony rozumu zaopatrzone są one znakiem przeczenia. Z jakiejś innej niewiadomej strony rozwiązują się te sprzeczności w najwyższą zgodność, rację i pozytywność. W naszym ludzkim języku musimy je konstruować ryzykownie znakiem "nie" i podpierać samymi przeczeniami. Tę rzecz jedną, niepodzielną, jak nic na świecie całkowitą, musimy dzielić na antytezy, próbując ją nieudolnie z tych części scałkować:

Legenda jest organem ujmowania wielkości, jest reakcją ducha ludzkiego na wielkość

Jak może być jednostka szersza i głębsza od narodu i obejmująca go w sobie? Jak może być syn narodu – jego

ojcem i twórcą? Czy wola potęgi, nadludzka ambicja, uzurpacja, czy ascentyczna pokora, rezygnacja, całkowita ofiara z siebie? Czy pogarda ludzi i pycha, czy też najczulsza miłość i uwielbienie? Samowystarczalna, zadumana

w swej wielkości samotność, czy najwyższa solidarność ze zbiorowością? Rubasność czy wzniosłość? I czujemy, że te pary antynomiczne według jakichś głębszych praw nie znoszą się wzajemnie, lecz sumują w jakąś najwyższą sumę. Otwiera się ogromne pensum, leży ogromne zadanie dla polityków, historyków, strategów, moralistów. Specjaliści podzielą się tym obszarem, rozbiorą go między siebie i będą swoimi miarami mierzyć wzdłuż i wszerz te nadludzkie dymensje.

*

Napoleon wchodził cały w swój czyn, przeistaczał się weń, znikał w swym czynie. Był jakąś najwyższą zdolnością wkładania całej swej potencji w kategorię rzeczowe – bez reszty. Do energii działających w danym momencie dodawał siebie i wymuszał bieg wypadków. Był on siłą natury pomiędzy innymi siłami.

Ale ten Wielki był większy od swych czynów.

Nie mieścił się w żadnym z nich. Pozostawał poza nimi ogromny i nieodgadniony. Nie zużywał do cna swych rezerw. Jak gdyby oszczędzał się dla czegoś większego. Jego siła, jądro jego istoty pozostało nie zużyte. Położył się nim na Polsce jak chmura i trwa.

Jego rola dziejowa dopiero się zaczyna.

Napoleon był cały obecnością i chwilą, jak świetny fajerwerk, mający tylko jedno przeznaczenie: wyekspłodować się do końca. Dla Tamtego czyn nie był ostateczną rzeczą. Z niechęcią, ciężką i nieskorą ręką wypuszczał je spod płaszcza, gdy już inaczej nie można było: czyny gzemplaryczne. Siła moralna, która trwała za czynem, była dlań ważniejsza. Ciulał ją w narodzie. Gruntował kapitał żelaznej mocy. Naprzód w sobie. Od tego rósł na oczach wszystkich, brał w siebie wielkość. Lokował ją w sobie, jako najpewniejszym miejscu. Budował posąg. W końcu, gdy dopełnił swej wielkości, odszedł pewnego dnia niepostrzeżenie, bez słowa, jak gdyby to nie było ważne, zostawiając ją zamiast siebie: wielkość noszącą już na zawsze jego rysy.

Napoleon reprezentował tylko siebie. Ubrał się w historię jak w płaszcz królewski, zrobił z niej tren wspaniały dla swojej kariery. Jednym z momentów jego siły było to, że był bez tradycji, nie obciążony przeszłością.

Tamten wyszedł z podziemi historii, z grobów, z przeszłości. Był ciężki marzeniami wieszczów, mglisty rojeniami poetów, obciążony męczeństwem pokoleń. Był cały dalszym ciągiem. Ciągnął za sobą przeszłość, jak płaszcz ogromny na całą Polskę.

Jego twarz była może za życia twarzą indywidualnego człowieka. Zapewne ci, którzy byli w pobliżu niego, znali Jego uśmiech i zachmurzenie, błyski chwili na jego twarzy. Nam z daleka coraz bardziej gubią się indywidualne rysy, stają się mgliste i przepuszczają od wewnątrz jakieś promieniowanie rysów większych, obszerniejszych, mieszczących w sobie setki minionych twarzy.

Umierając, wchodząc w wieczność, marzy ta twarz wspomnieniami, wędruje przez szereg twarzy, coraz bledsza, przestronniejsza i promienniejsza, aż w końcu z nawarwień tych twarzy układa się na niej i zastyga w maskę ostateczną oblicze Polski – już na zawsze.

Bruno Schulz